

Rozmowa z Prof. Ireną Hausmanową-Petrusewicz

W pracy jestem szczęśliwa



Mikołaj Grynberg

Prof. Irena Hausmanowa-Petrusewicz w swoim mieszkaniu

Academia: Zacznijmy od początku. Od momentu, gdy zaczęła Pani praktykę lekarską w Kirgizji...

Ja nie zaczynałam praktyki, ja byłam w wojsku. To żadna praktyka. Odebrałam dyplom i tego dokładnie dnia do Lwowa weszli Niemcy, z końcem czerwca 1941. Z Warszawy do Lwowa wyjechałam w październiku 1939, gdy się zaczęła wojna. Wtedy ostatni raz widziałam moich Rodziców. Postanowiłam, że nigdy w życiu nie będę pod Niemcami i to się

o dziwo udało. Nigdy nie byłam na terenie, gdzie byłabym zależna od Niemca. Ani przez chwilę nie byłam w getcie. Wyszedłam z Warszawy, wyszedłam ze Lwowa. Niemców widziałam tylko jako rannych w szpitalu lub tak jak się widzi „przeciw-nika” - wiedziałam, że gdzie tam są.

Jak Pani uciekła ze Lwowa?

Pojechałam pociągiem, który jechał nie wiadomo dokąd i wysiadłam tam, gdzie on się zatrzymał. To było przed Uralem,

w Permie, wtedy to był Mołotow. Nic wtedy nie umiałam z medycyny. Naprawdę! Pracowałam wcześniej tylko w laboratoriach. Ale mnie wzięli za lekarza, tam wszystkich mobilizowali. Potem się dowiedziałam, że moja młodsza siostra została ewakuowana ze Lwowa do Kirgizji, do Frunze. Znalazłam jakiś pociąg i pojechałam do Kirgizji. Tam też dostałam pracę w szpitalu, choć nadal niewiele umiałam. Dowiedzieliśmy się, że tworzy się armia polska. Zgłosiłam się. Wzięto mnie niechętnie. Każdy wie-

dział, że ja jestem żadna siła naukowa ani medyczna, ale znalazłam polskiego lekarza, który był już od jakiegoś czasu w armii. To był bardzo dobry chirurg. Znany. On mnie jakoś wpakował do wojska, a potem się ze mną ożenił...

To było jeszcze w Kirgizji?

Tak, ale od razu pojechaliśmy do wojska. Asystowałam przy operacjach, byłam w szpitalu frontowym. Jeździliśmy. Wcieliliśmy się gdzieś pod Moskwą, potem szliśmy za frontem za Białystok. Doszliśmy prawie do Berlina, a w końcu do Warszawy. Niemców już tam nie było.

To rzeczywiście się Pani udało, ale miała Pani niemieckich pacjentów...

Jeżeli jeńiec był ranny albo chory, to leżał w szpitalu, ale to nie był szpital dla jeńców, raczej dla wojskowych. Tam byli głównie tzw. POPi (Pełniący Obowiązki Polaków Rosjanie). Jestem emocjonalnie bardzo związana z tym okresem.

Musiła Pani być bardzo odważna...

Wie Pani, byłam taka „dzielna” osoba. Wysłałam sama z domu, ściągnęłam siostrę, miałam jeszcze takiego boyfrienda, którego też zmusiłam, żeby wyszedł. On notabene zginął. Starłam się nie być tchórzem, ale się bardzo bałam. Całą wojnę strasznie się bałam...

Jak sobie Pani radziła z tym strachem?

Starłam się go ukryć. Pamiętam, że prawie nigdy w tamtym czasie nie spałam w spokoju. Zawsze mi się wydawało, że będą samoloty. I długo potem w Warszawie, kiedy wróciłam, też nie mogłam spać. Napatrzyłam się strasznych tragedii ludzkich. O tym nawet trudno mi jest mówić.

Ale gdy już się coś takiego przeżyje, to nigdy potem życie nie jest byle jakie. Trzeba iść dalej. Pani się to udało?

Mnie było trudno początkowo żyć wśród ludzi, którzy inaczej przeszli wojnę. Tu była przecież też masa różnych problemów

w czasie okupacji, też potwornych tragedii. A ja ich nie rozumiałam. Ja sobie nie zdawałam sprawy z tego, że tutaj też zabijano. I jak zabijano... Takie rzeczy hartują człowieka, ale człowiek nie powinien być bardzo zahartowany. Ja przez pewien czas nie mogłam zrozumieć codziennych ludzkich problemów. Mnie się one wydawały śmieszne, np. że człowiek nie ma mieszkania, że chleb jest na kartki. To dla mnie była ostatnia sprawa... Od razu widziałam przed sobą ten potworny głód, który był w Związku Radzieckim. Ja go sama nie odczuwałam, bo byłam młoda i mnie to jakby nie dotyczyło. Nie miałam nikogo bliskiego na utrzymaniu, coś tam czasem zjadłam... Ale to, czego byłam świadkiem, było tak straszne, że jak tutaj ludzie narzekali na kartki, to mi się to wydawało jakieś drobne. To właśnie jest niedobre u ludzi, którzy mieli niezwykle przeżycia. Mnie to minęło, wróciłam do normy i teraz się martwię nawet o guzik...

Pamiętam taką scenę z dzieciństwa, gdy moja Babcia, przecież miałam świadomość, że przeżyła jakieś koszmarnie rzeczy i niczym już na świecie się nie powinna przejmować, martwiła się, gdy wyciągała mi drzazgę z nogi.

Pojechałam pociągiem, który jechał nie wiadomo dokąd i wysiadłam tam, gdzie on się zatrzymał. To było przed Uralem. Nic wtedy nie umiałam z medycyny. Naprawdę!

No właśnie, mój przyjaciel dr Zygmunt Grynberg bardzo mnie początkowo denerwował, że opowiadał dowcipy z okupacji. To były jego przeżycia. Zawsze sobie myślałam: „Boże, naprawdę już się nie ma z czego śmiać?”, ale to był jego sposób na przeżycie tego.

Po powrocie szybko zaczęła Pani karierę naukową.

Na początku po przyjeździe nie wiedziałam, że moi rodzice nie żyją. To był dla mnie ogromny cios. Myśmy nie wiedzieli, co się tu działo. Nie było żadnej korespondencji. Był w wojsku oświatowiec

kulturalny, którego praca polegała na tym, że czytał gazety i opowiadał nam, co się dzieje. W rosyjskich gazetach nie było o Zachodzie prawie nic. Zaczęłam szukać w pracy zapomnienia. Ja zawsze bardzo chciałam pracować. Jeszcze we Lwowie jako studentka pracowałam naukowo. Bardzo mi brakowało takiej możliwości. Myślałam, że nigdy do tego nie wrócę. Gdy zaczęłam pracować, to byłam naprawdę bardzo szczęśliwa.

Ale to też nie były łatwe czasy, te lata 50.

To były bardzo trudne czasy, ale ja jeszcze wtedy nie miałam dziecka. Byliśmy dorośli - lekarze - obojętnie, jaką sytuację mieliśmy, to było zupełnie nieważne. Ciężką sytuację każdy odnosił głównie do przeszłości. Każdy miał trudność z różnych powodów.

Rozmawialiście wtedy między sobą o tym, co się wydarzyło w czasie wojny?

Oczywiście! Nie tylko się bardzo dużo mówiło, ale wręcz szukało się ludzi, którzy by mogli coś opowiedzieć. To nie było takie proste. Nie każdy chciał

mówić. Każdy mówił co innego, każdy widział co innego, nie każdy z każdym chciał mówić. To nie był czas, w którym się można było dowiedzieć prawdy. Dużo się mówiło, ale prawdę powiedziawszy, znacznie więcej rozumiem, czytając to, co teraz o tym piszą, niż wtedy. Wtedy ludzie albo nie rozumieli, albo tłumili to w sobie.

A jak Pani została kierownikiem w klinice?

Zaczęłam pracować w klinice w 1946. Tam był jeden profesor - Adam Opalski - i my - trzy koleżanki. I byli chorzy.

Rozmowa z Prof. Ireną Hausmanową-Petrusewicz

Pracowałam, ale chciałam zrobić doktorat. Pan profesor wtedy zachorował i nie miałam właściwie żadnego kierownika. Obok był neurochirurg, prof. Jerzy Choróbski. On wziął opiekę nad moim doktoratem. Obroniłam pracę w 1949.

A w 1951 habilitację...

A skąd Pani to wzięła?

Z „Dziejów Wydziału Lekarskiego”, wydawnictwo Akademii Medycznej w Warszawie.

Potem Profesor umarł. Zostałam kierownikiem, bo byłam jedyną osobą z habilitacją.

Z nauką nie było łatwo?

W ogóle nie było żadnej nauki. Uczyliśmy się trochę z książek, trochę ze słyszenia, trochę z kontaktów ze starszymi ludźmi. Zainteresowałam się mięśniami. Chciałam znaleźć tkankę, w której obiektywne biologiczne badania nie zależałyby od wpływu innych czynników. Oczywiście jak każdy młody lekarz przeżyłam zainteresowanie psychiatrią. Po pół roku zorientowałam się, że każdy chory jest inny, ale nie z powodu indywidualnej choroby, tylko z powodu czynników środowiskowych. Inaczej choruje inteligent, inaczej człowiek, który nic nie umie, inaczej taki, który od dzieciństwa pije wódkę. To wszystko się nakłada i nie można powiedzieć, że dana choroba tak a tak przebiega. Wydawało mi się, że jedyną tkanką, który nas łączy, jest mięsień. Jest tylko wykonawcą. Wtedy zaczęłam szukać kontaktów, korespondować z ludźmi stąd i z zagranicy. Niedługo po doktoracie i habilitacji dostałam zaproszenie do Danii, do prof. Fritza Buchthala. To już było po 1956 roku, więc udało mi się wyjechać. Spędziłam rok w Danii i we Francji w zakładach elektrofizjologii mięśni. Gdy wróciłam do kraju, zorganizowałam pierwszą w Polsce pracownię kliniczną elektrofizjologii mięśni. Potem to już poszło. Zbierałam chorych mięśniowych z całej Polski. Potem i moi młodszy koledzy

mogli wyjechać. Stworzyliśmy zespół zajmujący się chorobami mięśni.

Gdy pytałam o Panią pani współpracowników, mówili, że zawsze była Pani wizjonerką. Za Pani kierownictwa powstał ośrodek w Konstancinie.



Prof. Irena Hausmanowa-Petrusewicz rozpoczęła pracę w klinice Akademii Medycznej w 1946 roku

Świetnie go prowadziła pani doktor Stefania Zielińska. Wtedy zwracano domy zabrane przez VIP-ów. Mnie się wydawało, że to bardzo ważne w okresie, gdy chorzy wracają do zdrowia, żeby można ich było obserwować i otoczyć opieką przez dłuższy czas. To było korzystne i dla nauki – zbieranie danych – i ze względu na chorych, żeby nie wracali po operacjach do dosyć złych warunków. Mięsień jest unerwiony, zależy od nerwu, a ten zależy od rdzenia, więc zaczęłam się interesować także neuronem. Potem powstały nowe kierunki. Po wojnie powstała specjalistyczna, jak na tamte czasy, aparatura, która zresztą przeszła z wojska. To pozwoliło pogłębić fizjologię, mikrofizjologię, biochemię. Weszła też do kliniki genetyka, która już od czasów eugeniki niemieckiej trochę wisiła nad medycyną. Ponieważ choroby mięśni są często dziedziczne, powstała konieczność wprowadzenia genetyki do miologii. To wymagało wyszkolenia dużej liczby ludzi.

Ale to było już później, bo przecież w latach 50. genetyka była wręcz zakazana...

Tak, to było dużo później. Jednak ogólnie w Polsce nie było aż tak strasznie, żebyśmy musieli wszyscy klepać to samo w nauce. Nie można powiedzieć, że nauka się zatrzymała przez to. Byli oczywiście ludzie, którzy zajmowali się, powiedzmy, nieatrakcyjnymi dla władz problemami, które się władzom wydawały do niczego. Najgorszy był brak zaufania między ludźmi. Wiadomo było, że w każdym zespole jest jakaś wtyka, więc nie było tak jak teraz, że każdy przyjdzie i powie, co robił wczoraj, z kim itd. To się bardzo odbijało i na ludziach, i na nauce, i na pracy. Szczególnie w medycynie, gdzie jest hierarchia. Hierarchia była bardzo korzystna dla władz, bo nie musieli się z każdym cackać od młodego do starszych, tylko wystarczyło, że załatwili kierownika, on im już załatwił resztę. Z tego powodu też miałam dosyć dużo przykrości. W moim zespole było bardzo dużo ludzi protestujących i będących w opozycji. Wyjątkowo dużo. Pani się pyta dlaczego?

Podobno miała Pani wyjątkowy talent do wyławiania zdolnych osób i wypychania ich dalej?

Nie tyle ja miałam talent, ile oni do mnie przychodzili. Część wciąż współpracuje.

No i Pani cały czas pracuje. Jest Pani tytanem pracy.

Pracuję w cudzysłowie. Mnie jest bardzo trudno rozstać się z pracą. I to jest głupie, ale nie potrafię inaczej. Trudno mi już chodzić. Dużo czasu zajmuje mi dojazd do pracy, ale mnie po prostu bardzo interesuje, co się dzieje w nauce. A teraz jest mnóstwo ciekawych rzeczy na świecie w mojej dziedzinie.

Jaka jest Pani recepta na taką udaną pracę?

Nie mam żadnych recept. Mogę ocenić wstecz, że miałam bardzo dobrych współpracowników. To był nowy przedmiot, więc szli ludzie, którzy się

interesowali nowością. Przyszło dużo młodych ludzi, którym zależało na robieniu czegoś nowego. Teraz też są bardzo zdolni ludzie, mają bardzo dobre stypendia, mogą wyjeżdżać za granicę. Ale tamci mieli coś, czego ci nie mają. Trudne życie...

Ale co to znaczy? Ja też jestem trochę jak lekarz... muszę wiedzieć wszystko.

Na przykład sprawa mojej córki. Ona była zawsze strasznie zbuntowana. Chodziła na wszystkie demonstracje. Została wyrzucona z uniwersytetu. To było dla mnie bardzo trudne. Straciłam raz pracę przez to. Właściwie to było tak po polsku - nie do końca. Był rok 1968, sprawa „Dziadów”, wtedy ją aresztowano. Ze mną też już nie mogli wytrzymać. Zaprzyjaźniony ze mną minister Jerzy Sztachelski ostrzegał mnie, że on nic nie będzie mógł zrobić i żebym ja z nią coś zrobiła. Ale ja nic nie mogłam. Ona była bardzo twarda i bardzo dzielna. W końcu mnie zawiesili. Ale nie zdążyli mi tego powiedzieć. A w międzyczasie zdjęli też Sztachelskiego. Nowym ministrem został prof. Jan Karol Kostrzewski. Pierwszy minister, który nie przyszedł z portfela partyjnego. On był z AK. Zupełnie inny człowiek. Bardzo sympatyczny i uczciwy. Pewnego dnia do mnie zadzwonił. Zapytał mnie, co się dzieje z ANOPSEM (to była taka maszyna, którą inżynierowie zrobili ze mną do badań fizjologicznych i ja ją firmowałam swoim nazwiskiem). Powiedział, że się tym interesuje, bo lubi komputery. Okazało się, że on dostał do podpisu to moje zwolnienie z Akademii Medycznej. I Kostrzewski, ten niezwykle człowiek, który znalazł się nagle we wszystkich partyjnych układach, poszedł do Józefa Kępy. Pani chyba nie wie, kto to był Kępa?

Nazwisko kojarzę...

To był sekretarz Warszawy, który organizował te wszystkie „czystki”. I niech pani sobie wyobrazi, że Kępa, który w zasadzie nie przyjmował nikogo, ze względu na snobizm do ludzi pokroju Kostrzewskiego przyjął go natychmiast.

Powiedział, że to jest wielkie nieporozumienie i skasowali to moje zwolnienie. Ale przyjemnie nie było. Córka się nie uspokoiła i wyjechała w 1969. Wyjechała i dotąd pracuje za granicą. Ona mnie pytała: „To co ja mam zrobić? Zrezygnować ze swoich poglądów?”. To nie było łatwe.

Domyślałam się.

Bardzo wielu ludziom nie dawano wyjeżdżać za granicę. Dopiero za Gierka to się zmieniło. Wielu moich współpracowników miało straszne problemy. Ja nie miałam tak źle, zanim Marta nie zaczęła działać. Mój mąż był sekretarzem nauki w KC, potem sekretarzem Wydziału II PAN. On mnie chronił. Ale za czasów Marty on się zachował znacznie bardziej tolerancyjnie ode mnie. Uważał, że ona nie powinna rezygnować ze swoich poglądów. I ja w tym wspierałam. Zachował się niezwykle, ale musiał przez nią rzucić pracę na rok i wyjechać.

Dużo ludzi wyjechało?

Nie, w większości przeżyli i zostali. Na przykład Janina Rafałowska, kiedy były awantury na uniwersytecie, wystąpiła, że nie wolno bić studentów. Zdjęli ją natychmiast z etatu. Ale ponieważ ona była świetną specjalistką, mówiliśmy, że bez niej trzeba będzie zamknąć zakład. Więc jej dali etat szpitalny. Nie był za korzystny, niżej płatny i w każdej chwili mogli ją wyrzucić. Po czterech latach ją przywrócili, ale byli ludzie, których całkiem pozbawiali pracy. Polska Akademia Nauk zdała egzamin także w czasach, gdy uniwersytety wywalaly ludzi za poglądy, a Akademia ich przyjmowała. Akademia powstała, kiedy powstała Polska i na świecie też istniały akademie skupiające różne ośrodki akademickie. Wtedy na początku wybrano naprawdę najlepszych ludzi, wcale nie partyjnych.

Miałam właśnie zapytać o PAN.

Instytyty Akademii są na świecie na bardzo wysokich miejscach, podczas gdy najlepsze polskie katedry uniwersytec-

kie są na znacznie dalszych. Pytanie: dlaczego niszczyć takie dobre instytuty? Dlaczego minimalizować Akademię? W reformie przerzucono całą władzę na urzędniczą część - dokładnie odwrotnie, niżby to miało sens dla rozwoju Akademii jako korporacji naukowców. Narobiono kuratorów, dziekanów. Poróżnili młodszych ze starszymi. Zrobili wszystko, żeby zaprzeczyć duchowi Akademii. A potem pokazać, że to do niczego.

A kiedy Pani zdaniem akademia ma sens?

Kiedy zajmuje się wielkimi problemami naukowymi, które nie mieszczą się w uniwersytetach tak jak odpowiednie akademie we Francji, w Stanach Zjednoczonych, we Włoszech czy w Anglii.

Rozmawiała

Patrycja Dołowy

Warszawa, listopad 2011 r.

Prof. dr hab. Irena Hausmanowa-Petrušewicz neurobiolog, specjalizująca się w elektrofizjologii i genetyce klinicznej. Członek korespondent PAN od 1986 roku, członek rzeczywisty PAN od 1998 roku. Kierowniczka Zespołu Chorób Nerwowo-Mięśniowych Instytutu Medycyny Doświadczalnej i Klinicznej PAN. Członkini rad naukowych w IMDK PAN i IB PAN. W latach 1958-1989 kierowniczka Katedry i Kliniki Neurologii Akademii Medycznej. Członek-założyciel Komitetu Badań Nerwowo-Mięśniowych Światowej Federacji Neurologicznej, członek i członek honorowy wielu towarzystw naukowych w Polsce i na świecie. Doktor honoris causa Uniwersytetu im. Pasteura, Strasburg, laureatka wielu nagród naukowych, w tym Nagrody Prezesa Rady ministrów w 2010 roku. Odznaczona Krzyżem Oficerskim Orderu Odrodzenia Polski, Krzyżem Komandorskim Polonia Restituta, Polonia Restituta z Gwiazdą na 50-lecie PAN (2002), Medalem Komisji Edukacji Narodowej.